

ENTORI - O.W.-WA



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

LITERATURA

Warszawa, ul. Koszykowa 6-c

wydanie
4 4

Nr z dn. 31-10-74

KRAKOWIACY, GÓRALE, CHŁOPI

W bardzo krótkim odstępie kilku za-
ledwie dni obejrzałem i usłysza-
łem dwie opery polskie, których
samo zestawienie, najzupełniej przypad-
kowe, ukazuje w ogromnym skrócie
niektóre cechy tego, co w naszej twórczo-
ści zwykliśmy nazywać *kierunkiem
narodowym*. „Krakowiacy i górale”
Bogusławskiego z muzyką Stefaniego
w Teatrze Wielkim w Łodzi oraz —
w Teatrze Wielkim w Warszawie —
„Chłopi” Witolda Rudzińskiego do li-
bretta opartego na wątkach powieści
Reymonta.

Jedna z pierwszych i jedna z ostat-
nich oper polskich. Dzieli je dwa wie-
ki historii tego gatunku w naszym kra-
ju. Już widzę tytuł zbiorowego opra-
cowania: „Dwa wieki w służbie naro-
du”. W służbie, nie dla rozrywki i za-
bawy. Muzyka polska, podobnie jak
wiele innych gałęzi sztuki, przez dłu-
gie dziesiątki lat była skazana na słu-
żenie narodowi. Nie było w niej miejs-
ca na beztroski kosmopolityzm. Wszyst-
ko, co się wartościowego rodziło na tej
ziemi, lub tworzone było przez Pola-
ków poza jej granicami, musiało pod-
legać tak silnemu ciśnieniu ze strony

odbiorców, że mogło być przyjęte tyl-
ko w jeden sposób: jako narodowe, ja-
ko polskie. Począwszy od końca XVIII
wieku przez cały wiek XIX dziesiątki
lat pracowały na wykształcenie i u-
trwalenie stereotypów odbioru — od-
bioru poprzez konkretny filtr, z kon-
kretnym kluczem w ręku. I porozumie-
nie twórcy z odbiorcą opierało się na
całym systemie symboli i znaków wy-
woławczych, w którym — w zakresie
muzyki — bodaj najważniejszą rolę o-
degrało zwrócenie się w stronę szeroko
i zresztą dość różnie pojmowanej
„ludowości”, w stronę folkloru, trakto-
wanego jako podstawa „stylu narodo-
wego”.

O znaczeniu folkloru napisano bar-
dzo wiele, podkreślając jego pozytyw-
ny wpływ na wszelką twórczość. Taki
był on w istocie, lecz tylko w twórczo-
ści największych. A niewielu mie-
liśmy twórców, którzy potrafili ustrzec
się przed tkwiącymi w nurcie „ludowo-
ści” niebezpieczeństwami spłycenia,
twórczości „z drugiej ręki”. Zwłaszcza
w operze, tak popularnej w XIX wie-
ku, a której naturalna dążność do wy-
stawności, widowiskowości i przepychu

oprawy scenicznej w owych czasach (a
i teraz nierzadko) łatwo mogła dopro-
wadzić do — powiedzielibyśmy dzisiaj
— cepeliowskiej tandety. Chyba Cho-
pin przezuwał to niebezpieczeństwo
zbyt dosłownego potraktowania ludo-
wych źródeł, opierając się wszelkim na-
mowom napisania „narodowej opery”?
Gdybyż tak ktoś podjął próbę opra-
cowania historii pojęcia „narodowości”
w muzyce polskiej także od jego mniej
świetlanych stron. Pokazał, jak stop-
niowo degradowało się ono w istnie-
jących warunkach historycznych, pro-
wadząc do banalnych, płytkich sche-
matów?

Kostium ludowy „Krakowiaków i górali”
służy podkreśleniu aktualności politycznej
rozgrywających się na scenie wydarzeń.
Trwa Insurekcja Kościuszkowska. Folklo-
ryzm „Krakowiaków”, jakkolwiek mający
oparcie w ówczesnych teoriach estetycznych,
wynika z potrzeby chwili. Jest naturalny
i spontaniczny. „Narodowość” oper Moniusz-
ki polega już na wykształconym w świa-
domości Polaków stereotypie. Chłopska suk-
mana czy szlachecki kontusz (bo i on staje
się elementem „folkloru” w szerokim ro-
zumieniu tego słowa) na scenie funkcjonują
już na innych zasadach, brawurowy mazur
czy polonez są już tylko symbolami pol-
skości, pamięci, przypomnieniem historii.

Czy zdawał sobie z tego sprawę ówczesny
Naczelny Dyrektor Teatrów, generał Abra-
mowicz, zwracając się po premierze „Hal-
ki” do zgromadzonych gości: „Piszcie dalej,
tylko coś weselszego. Sztuka nie powinna
mówić o rzeczach współczesnych. Niech le-
piej sięga do historii”. A może zapomniał
w tym momencie, że historia nie zawsze
musi być ani weselsza, ani bardziej bez-
pieczna niż współczesność?

Zostawmy Moniuszkę i chodźmy da-
lej. Stereotyp, zbyt długo utrwalany,
zaczyna przynosić obok korzyści — i
straty. Twórczość „w duchu narodo-
wym” staje się jednym ze składników
hermetycznej otoczki, w jakiej zaskle-
piają się narody, których istnienie kul-
turowe jest zagrożone. Wobec odcięcia
od zewnętrznych wpływów nawet to ży-
ciodajne źródło — muzyka ludowa —
zdaje się tracić swoją ożywczą moc. Wi-
docznie nie może się karmić sama so-
bą. Folklorystyka staje się sztuczny i na-
iwny, jak młodopolskie „chłopomań-
stwo”. Coraz bardziej oddala się od
aktualności. Przestaje służyć twórczości
oryginalnej — staje się kopiowaniem.
Co dalej — wiemy. Trzeba było Szy-
manowskiego, by przywrócił właściwe
proporcje, a i to nie na długo, bo oto
wkrótce po drugiej wojnie przyjdzie

Tadeusz Szyłłejko

jeszcze raz sięgnąć po stary schemat.
Czy po raz ostatni?

Tak w wielkim skrócie mógłby wy-
glądać „paszkwil na folklorystykę”.

Siedząc na przedstawieniu „Chło-
pów” Rudzińskiego, pomyślałem sobie,
że być może po raz ostatni jestem
świadkiem próby ratowania pojętej w
duchu ludowym narodowej tradycji w
polskiej operze. Na scenie ciąg żywych
obrazów, nostalgiczny, mazowiecki
skansen. Jak gdyby spełniło się po la-
tach życzenie generała Abramowicza —
historią stał się folklor, zaś tematyki
współczesnej szukać musimy gdzie in-
dziej, w każdym razie nie w operze.
Ludowość stylizowana — jak w przy-
padku nie tylko dzieła Rudzińskiego —
w operze traci zresztą nie tyle na swo-
jej widowiskowości — tę zawsze zacho-
wa — co na zdolności do udźwignię-
cia treści odpowiednich do współczes-
nej muzyki, jakich dzisiaj chcielibyśmy
od niej oczekiwać. Wypełniła swoje za-
danie „sztuki narodowej” — i może o-
deść? W regiony bardziej sobie przy-
chylnie — do zespołów pieśni i tańca,
do etnograficznych muzeów?